

**STRONA PIERWSZA**

# ODMIENNOŚĆ DZIEŁA

**ks. Julián Carrón**

Notatki z zebrania Szkoły Działa (Scuola Opere) dla członków Towarzystwa Działa – Działa Społeczne  
(Compagnia delle Opere – Opere Sociali)  
Mediolan, 13 czerwca 2012

Teksty ks. Luigię Giussaniego i ks. Juliána Carróna © Bractwo Comunione e Liberazione

Ks. JULIÁN CARRÓN

**Notatki z zebrania Szkoły Dzieł (Scuola Opere) dla członków Towarzystwa Dzieł – Dzieła Społeczne  
(Compagnia delle Opere – Opere Sociali)  
Mediolan, 13 czerwca 2012**

**Bernhard Scholz.** Szkoła Dzieł powstała po to, by umożliwić dialog i nieustanną formację oraz dawać wsparcie we wszystkich kwestiach dotyczących dzieł społecznych. Rozmawialiśmy o wolności jako o fundamencie rzeczywistej budowli, o kimś, kto nie obarcza innych, ale angażuje się w pierwszej osobie; rozmawialiśmy o zawodowym starcie młodych, o statusie gospodarczym, który nie jest celem, ale absolutnie decydującym narzędziem, o otwarciu dzieł na świat, o współpracy, ponieważ to również jest decydujące dla rozwoju dzieła. Podczas całej tej drogi coraz wyraźniej było widać, że rozwój ten zależy od podmiotu, albo lepiej, od grona osób, które pracują dla oraz w dziele. Uświadomiliśmy sobie również lepiej, że w tym świecie – w którym jest wiele projektów usiłujących zastąpić osobę i jej odpowiedzialność automatyzmami, modelami i mechanizmami – odkrywamy ludzkie piękno, kiedy zaczynamy rozumieć, że wszystko, dzieła i profesjonalizm, są wyrazem angażującego się „ja”. Potrzeba więc autentycznie ludzkiej postawy, aby dzieło rzeczywiście mogło służyć człowiekowi. Dlatego jesteśmy bardzo wdzięczni za to, że dzisiaj wieczorem jest tutaj ksiądz Carrón, który przyjął zaproszenie. Jest to sposobna okazja do tego, by jeszcze lepiej odkryć, na czym polega ta ludzka autentyczność, na czym polega prawdziwa postawa, twórcza, zdolna przekształcić rzeczywistość dla dobra wszystkich.

**Monica Poletto.** Pytania zadawane tego wieczoru rodzą się przede wszystkim z tegorocznej pracy Szkoły Dzieł, a dotyczą wielu tematów. W rozmowach oraz podczas drogi przebytej w tych latach często wyłaniały się punkty krytyczne oraz trudności; to coś, w czym w pewnym momencie zaczęliśmy się rozsmakowywać, ponieważ zdaliśmy sobie sprawę, że częścią ludzkiej i przyjacielskiej drogi jest stawianie czoła wszystkim krytycznym sytuacjom, wyłaniającym się podczas naszej pracy. To, że tego wieczoru stawimy czoła niektórym z tych trudności, wiąże się z zauważaniem wielkiej pozytywności – uzdalniają nas one bowiem do obejmowania spojrzeniem wszystkiego.

**Wypowiedź.** Pracując nad formacją – co dla nas oznacza pomaganie dziełom, by były bardziej pro-

fesjonalne, by umożliwiały solidarne działanie – interesuje nas pogłębienie związku między dwoma stwierdzeniami, które czasem wydają się ze sobą nie zgadzać, a wręcz sobie przeczyć. Pierwsza kwestia to stwierdzenie, że „po owocu poznaje się drzewo”, a więc że w jakiejś mierze rezultat wiąże się z istotą naszego działania. Drugie stwierdzenie, które często powtarzamy między sobą, mówi, że „trzeba być wolnym od rezultatu”. Często dostrzegamy w sobie opór w patrzeniu z realizmem na wynik naszych działań. Łatwiej zatrzymać się na przesłance – na racjach, ze względu na które coś robimy – przyjąć cel po części, akcentując niemal wyłącznie sukcesy, a cenzurując punkty krytyczne, brak umiejętności. Zauważyliśmy, że pewien sposób mówienia: „Jesteśmy wolni od rezultatu”,

o ile nie jest wyrazem nieodpowiedzialności, wyraża ogromny lęk w patrzeniu na rezultat, ponieważ czujemy, że on nas stanowi. Jednocześnie odkrywamy, jak fascynujące i po ludzku opłaczalne jest dążenie do spoglądania na rezultat naszych działań z pragnieniem, by wszystkie czynniki wyłoniły się z rezultatu, tak byśmy pozwolili się korygować przez to, co się wydarza. W jaki sposób pogodzić dążenie do nauczenia się czegoś z samego rezultatu z wolnością od samego rezultatu?

**Ks. Julián Carrón.** Nie wystarczy tylko wyjaśnienie, by udzielić odpowiedzi. Bardzo ważne jest, byśmy zdali sobie sprawę,

że nie wystarczają nam wyjaśnienia, ale że potrzebujemy urzeczywistnienia tego, co usłyszeliśmy w odpowiedzi. By móc rozpoznać i zrealizować to, co usłyszeliśmy w odpowiedzi, potrzeba ludzkiego doświadczenia, tego, co stanowi istotę, bez czego odpowiedź pozostaje teoretyczna. To jest decydujące. Dlatego jeśli całe dzisiejsze spotkanie nie zostanie włączone w drogę, którą zmierzamy, robiąc Szkołę Wspólnoty, zapewniam was, że jest to strata czasu, nawet jeśli uda nam się dokładnie odpowiedzieć na wszystkie pytania, ponieważ nie wystarczy „znać” odpowiedzi. To jest oczywisty przykład: jak mogę być tak naprawdę wolny od rezultatu? Pierwszą rzeczą, jaką trzeba zrozumieć, by zacząć być wolnymi, jest uznanie – co każdy może od razu rozpoznać na podstawie własnego doświadczenia – że każde dzieło, każde usiłowa-

**„Nie wystarczy  
wiedzieć, że dzieło  
jest niedoskonałe,  
nie wystarczy wiedzieć,  
że jedyną możliwością  
jest posiadanie Jezusa,  
ale trzeba, by Jezus  
był obecny w sposób  
tak rzeczywisty,  
bym mógł patrzeć  
na moje ograniczenie  
bez zgorszenia”.**



Vincent Van Gogh, *Żniwiarze*, 1888. Paryż, Muzeum Rodina

nie odpowiedzenia na potrzebę zawsze jest niedoskonałe. A to nie tylko dlatego, że jesteśmy grzesznikami – nawet największy ze świętych nie może zrobić nic innego, jak tylko podjąć ironiczne usiłowanie. Jeśli zaczniemy uznawać niedoskonałość każdego ludzkiego działania, każdego ludzkiego gestu, każdego ludzkiego usiłowania, wówczas powoli zaczniemy w sposób wolny patrzeć na to, co się nie udaje, uznawać to, nie czując się osądzonymi albo zakwestionowanymi tylko ze względu na to, ponieważ każdemu ludzkiemu gestowi przynależne jest bycie niedoskonałym. Pomimo tego, co wszyscy uznajemy, ponieważ doświadczamy tego codziennie, czasem – jak mówicie – jesteśmy gotowi uznać sprawy, które układają się pomyślnie, uwydatniając sukcesy, jesteśmy jednak mniej skłonni do uznania punktów krytycznych. Dlaczego? Ponieważ pojawia się ogromny lęk. Pamiętam dobrze, nie było mniej przyjemnej rzeczy dla uczących w szkole, w której byłem dyrektorem, niż osądzanie tego, co się wydarzało. Zadawałem bardzo proste pytanie: „Czego po czterech latach liceum doświadczył młody człowiek, który przyszedł do naszej szkoły? Czy możemy wydać osąd, by zacząć rozumieć, jaki jest rezultat naszego wychowawczego usiłowania, również po to by coś poprawić albo zmienić?”. Byli gotowi na wszyst-

ko, za wyjątkiem zaakceptowania osądu. Pozostaje co najwyżej sentymentalizm, dlatego uczniowie po ukończeniu szkoły, gdy spotkają nas na ulicy, uprzejmie nas pozdrawiają. Gratulacje! Czy to jest wszystko, na co nas stać? Często boimy się, ponieważ wartość upatrujemy w tym, co robimy. Bardzo trafnie mówił o tym ksiądz Giussani w artykule z 2000 roku, opublikowanym ponownie na łamach majowo-czerwcowego numeru „Śladów”, w którym bronił Jana Pawła II, proszącego o przebaczenie grzechów popełnionych przez Kościół w ciągu historii. W pewnym momencie mówi: „Wszystkie ideologie posiadają pewien aspekt, wskutek którego człowiek jest pewnym przynajmniej jakiejś jednej rzeczy, którą sam tworzy”. To znaczy: ideologie przypisują wartość temu, co robią. I jaka jest tego konsekwencja? Człowiek „nie jest w stanie (...) zrezygnować ani poddać w wątpliwość” tego, co robi. Proste, krystaliczne jak woda. To jest ideologia; „ale chrześcijanin wie, że jego wysiłki i wszystko, co posiada albo co czyni, zawsze muszą ustąpić prawdzie”. Ponieważ jest niedoskonały, a więc prawda jest większa od tego, co udaje nam się czynić. Odnosi się to zarówno do poziomu osobistego, jak i do pracy, niezależnie od podejmowanego dzieła. Co więc pozwala człowiekowi uznać ograniczenia tego, co robi? >>

» Ksiądz Giussani mówi o tym w tym zdaniu: „Chrześcijanin nie jest przywiązany do niczego za wyjątkiem Chrystusa” (L. Giussani, *Quella grande forza del Papa in ginocchio*, „La Repubblica”, 15 marca 2000, s. 16; tłum.: *Wielka siła Papieża na kolanach*, „Ślady” 3/2012, s. 30–31). Tylko wtedy, gdy jesteśmy przywiązani do Chrystusa, tylko wtedy, gdy nie upatrujemy naszej wartości w niczym innym, jak tylko w Jezusie – może udać nam się uznać ograniczenia tego, co robimy. Dlatego ważne jest, byśmy zdali sobie sprawę, że nie wystarczy wiedzieć, że dzieło jest niedoskonałe, nie wystarczy wiedzieć, że ideologie przypisują wartość temu, co robią, nie wystarczy wiedzieć, że jedyną możliwością jest posiadanie Jezusa, ale trzeba, by Jezus był obecny w sposób tak rzeczywisty, by był tak oczywistym doświadczeniem, bym mógł patrzeć na moje ograniczenie bez zgorznienia, ponieważ moja wartość nie leży w tym, ponieważ moja wartość naprawdę znajduje się w Chrystusie: „Chrześcijanin nie jest przywiązany do niczego za wyjątkiem Chrystusa”. A tego nie improwizuje się, dokonując dzieła, ponieważ to nie przynależy do dzieła, ale przynależy do drogi wiary, którą każdy mierza. A jeśli tego nie robi, oczywiście jest, że przejawia się to potem w braku zdolności uznawania ograniczeń dzieła; w ten sposób wiele razy problemy są nierozwiązanymi osobistymi problemami. To nie są problemy dzieła, to nasze problemy: nie stanowi nas właściwa istota potrzebna do uznania tego, co jest niedoskonałe i co nie układa się tak, jak powinno. A więc tylko ktoś, kto posiada stanowiącą go istotę, może nieustannie dążyć do tego, by się uczyć, będąc wolnym od rezultatu. Bez takiego doświadczenia – które przychodzi wcześniej albo dojrzewa poprzez to, co ktoś robi – nie potrafimy odpowiedzieć na pytania, nawet jeśli znamy teoretyczną odpowiedź.

**Wypowiedź.** Na początku, kiedy dzieło jest małe, bardzo łatwo jest nie utracić jego korzeni; *mission* dzieła jest jasna i generalnie osoby, które je prowadzą, dążą do tego, by nie zagubić celu. Dla wielu jednak, z czasem, gdy dzieło się rozra-

sta, pojawiają się rozstaje dróg i kiedy człowiek to sobie uświadamia, nie ma już jasności co do *mission* dzieła oraz jego korzeni. Niepokoi mnie to, że nasze dzieło rozrasta się coraz bardziej, przychodzą nowi wolontariusze i przynoszą nowe propozycje modyfikacji. Ten nacisk na zmianę jest pozytywnym aspektem, ponieważ zmusza nas do działania i nie daje nam spokoju; niesie jednak ryzyko oddalenia się od korzeni oraz od celu dzieła. Każdego dnia staczymy prawdziwą walkę o utrzymanie żywej *mission* dzieła i czasem wydaje mi się, że nie dam rady utrzymać jej długo żywą.

Chciałbym, byś pomógł mi zrozumieć, jak mogę przeżywać to naturalne rozrastanie się dzieła bez oddalania się od jego korzeni oraz zagubienia jasności co do jego celu.



Vincent Van Gogh, *Most Trinquetaille*, 1888. Kolekcja prywatna

**Wypowiedź.** My także w tych latach musieliśmy skonfrontować się z kryzysem, który przeżywamy. Niektórym dziełom zagraża zakończenie doświadczenia, które uchodzi za bogactwo dla innych oraz dla tego, kto je prowadzi. Z pewnością nie jest to najłatwiejszy moment. W obliczu kryzysu brakuje zwyczajnej operatywności, trzeba się uczyć, wprowadzać i rozwijać niektóre aktywności, które do tej pory nie były w zwyczajaju, takie jak na przykład komercjalizacja czy zarządzanie. Trzeba jeszcze raz przyjrzeć się typologii oraz jakości usług. Trzeba, jednym słowem, wchodzić w dogłębną interakcję z rzeczywistością, którą mamy przed sobą, w interakcję z całkowicie zmieniającym się kontekstem. Nie przeczę, że ta praca jest spontaniczna oraz naturalna. „Co robimy?”, „Dokąd zmierzamy?” – są to pytania, które nieustannie zadajemy sobie w naszym gronie. Gdy stawi się im czoła, często wyłania się pytanie dotyczące korzeni dzieła, jego celu. Wiele naszych spółek, w istocie, zrodziło się z doświadczenia wolontariatu, działalności charytatywnej, z doświadczenia być może nieco pionierskiego, wiele lat temu, w sposób całkowicie innowacyjny, by z hojnością odpowiedzieć na potrzeby spotkanych osób, a ten, kto powoływał je do istnienia, dał naprawdę wiele, by zaistniały. W tej pracy polegającej na nieustannym konfrontowaniu się z aktualną sytuacją zauważyłem,

że impuls do konfrontacji z kontekstem, a więc rozwijanie się samego dzieła, zostaje wstrzymane przez określony sposób odnoszenia się do korzeni dzieła, przede wszystkim jeśli nie było ono podtrzymywane przez doświadczenie przeżywane z biegiem lat, w wyniku czego zasada się ono dzisiaj na początkowych metodach. Jak przezwyciężyć tę formę bycia niemal w posiadaniu korzeni dzieła, które w obliczu próby faktów okazuje się przeszkodą w rozwijaniu się dzieła? Skąd wpływa ten błąd?

**Ks. Carrón.** Oczywiście jest, że w każdym dziele, w którym jest życie, występuje ryzyko. Jeśli jest życie i życie się toczy, zawsze występuje ryzyko. I to samo przez się jest nieuniknione, ponieważ nasze życie nieustannie konfrontuje się z naszą wolnością. Dlatego nie jest to tyle problem rozrastania się dzieła albo nie; problem polega na tym, że każde dzieło konfrontuje się z wolnością osoby. Nawet brak rozwoju nie zapewniłby w istocie trwałości jego korzeniom. Trudność tego, o co pytacie, jest inną oznaką tego nihilizmu, o którym mówiliśmy podczas ostatnich Rekolekcji Bractwa. Chcielibyśmy, by wszystko dokonywało się zawsze mechanicznie, by nie występowało ryzyko. Zawsze docieramy do tego punktu: do zgorznięcia wolnością. Opowiadałem już o przygodzie z taksówkarzem, który gdy tylko zorientował się, że jestem księdzem, powiedział mi, że skandalem jest to, że Bóg zostawił ludziom wolność. Powiedziałem mu: „Przepraszam, ale czy chciałby pan, żeby pana żona kochała pana nie dobrowolnie, ale dlatego że byłaby do tego przymuszana przez jakiś biologiczny mechanizm? – W żadnym razie! – Sądzi pan więc, że Tajemnica ma gorszy gust od pana?! Tajemnica stworzyła człowieka wolnym właśnie dlatego, że nie ma gorszego gustu od pana”. Wszystkie prawa Wszechświata nie są warte „tak” wypowiedzianego w sposób wolny. Kiedy ktoś cię kocha, to dla twojego życia jest to ważniejsze od wszystkich praw Wszechświata. Wolność nie jest więc jakimś haraczem do zapłaćenia albo czymś, co trzeba przetrzymać, ale jest to fascynująca umiejętność, którą posiadamy my, ludzie, a która pozwala nam nie postępować mechanicznie, ale żyć, ryzykować, uczestniczyć w przygodzie. A więc wzrastać, stawać się coraz bardziej sobą, ponieważ wciąż możemy coraz bardziej angażować się w to, co robimy. Wówczas zamiast się bać, musimy robić użytek z każ-

dej sposobności, traktować wszystko jako okazje do możliwości wzrastania w naszej samoświadomości. A jeśli przyjdą inni, by zaangażować się w nasze dzieła, są oni wyzwaniem dla każdego z was, ponieważ jest to możliwość rodzenia także ich w tej perspektywie, przyzwolenia na to, by stawali się ludźmi, przyzwolenia im na uczestniczenie. Na co przydaje się dzieło, jeśli nie czyni ludzi bardziej ludźmi? Nie przydawałoby się na nic, byłoby przegrane już na starcie. Tymczasem jeśli każdy, kto przychodzi, jest możliwością i wyzwaniem dla nas (ponieważ nie pozwala nam traktować spraw jako czegoś oczywistego i prosi nas o bycie obecnymi tak, jak gdyby to był pierwszy dzień), wówczas daje wkład innego świata, by-

**„Chrześcijanin  
nie jest przywiązany  
do niczego  
za wyjątkiem  
Chrystusa». A tego  
nie improwizuje się,  
dokonując dzieła,  
ponieważ to nie  
przynależy do dzieła,  
ale przynależy  
do drogi wiary,  
którą każdy zmierza”.**

śmy nie musieli kisić się we własnym sosie, w naszej bierności, w tym, co już wiemy, ponieważ musimy dawać świadectwo drugiemu, który przychodzi, o tym, co nas porusza. I to, paradoksalnie, jest największą okazją do tego, by dzieło nie zagubiło swoich korzeni. To ja nieustannie potrzebuję korzeni, by przeżywać każdą sytuację! Dlatego nie można mówić o korzeniach jako o czymś statycznym, ponieważ trzeba, bym odpowiadał i stawał czoła wyzwaniom, które zawiera teraźniejszość, będąca miejscem weryfikacji samych korzeni (tego, czy są one w stanie podjąć wszystkie wyzwania, jakie rzuca wciąż nowa rzeczywistość). Wystarczyłoby pomyśleć o tym, jak wiara w każdej epoce historycznej zawsze musiała stawiać czoła wyzwaniu komunikowania tego samego przesłania w innym języku, rozumiejąc, że by pozostać wierną samej sobie, musi się rozwijać. Nie wystarczyło mechaniczne powtarzanie pewnych słów, ponieważ słowa zmieniały znaczenie albo używano się innych terminów. Wówczas trzeba było czerpać z korzeni, bo w przeciwnym razie się gubiły. Widzicie? Jest na odwrót: korzenie trwają tylko jako coś żyjącego. W przeciwnym razie obumierają i zostają pogrzebane, albo też gubią się po drodze, zmieniając punkt źródłowy. Tymczasem właśnie to, że korzenie są nieustannie potrzebne do tego, by stawić czoła wyzwaniu teraźniejszości, sprawia, że pozostają one żywe. Potrzebujemy ich; dlatego nie wystarczy formalne powtarzanie. Ksiądz Giussani mówił, że by komunikować chrześcijaństwo, trzeba w jakiś sposób nieustannie „stwarzać je na nowo”. Gdyby ksiądz Giussani tego nie robił, wielu z nas nie byłoby tutaj dzisiaj. Nie wystarczy formalne powtarzanie tego, co stanowi korzenie, ponieważ >>

» korzenie nigdy nie są formalne! Korzenie są wydarzeniem, punktem zapalnym, który w pewnym momencie sprawił, że wyzwoliła się czyjaś wolność. Jeśli nie ma czegoś więcej, wówczas wszystko staje się płaskie. Dlatego ksiądz Giussani mówił zawsze, że metoda zawsze jest taka sama: coś, co przychodzi wcześniej. Ale nie tylko u zarania: to coś, co przychodzi wcześniej, jest zawsze, w każdym momencie drogi, ponieważ jest właśnie wydarzeniem. Korzenie są wydarzeniem, są bodźcem, są genialnością, nowością. Te korzenie muszą trwać, nie tak jak na początku, ale te same, co na początku.

**Wypowiedź.** Zaczynamy rozumieć, jak ważne jest to, by miejsca zarządzania dziełami były miejscami rzeczywistego brania odpowiedzialności. Często bowiem branie odpowiedzialności pośród nas było i jest usuwane przez stwierdzenie: „Jestem w tym miejscu dla siebie”. Wydaje nam się jednak, że ten dualizm musi zostać osądzony właśnie jako dualizm; w istocie, w moim doświadczeniu nie jestem w stanie myśleć, że jakieś miejsce jest dla mnie, jeśli nie wezmę odpowiedzialności, która wiąże się z tym miejscem. Stwierdziwszy to, często zauważamy, że przejście od tego, co ironicznie nazywamy „monarchią”, do współdzielonego zarządzania wciąż jeszcze przychodzi z trudem, a trud współdzielenia zarządzania idzie ramię w ramię z trudem współdzielenia odpowiedzialności, czyli dopuszczenia do tego, by osoby wzrastały. Tam, gdzie dokonano się to przejście, byliśmy świadkami przeżywania niewiarygodnych doświadczeń. Są spółki, w których podczas kryzysu odpowiedzialność podjęli wszyscy – był to jednak owoc pracy tego, kto nimi kieruje, oraz zaangażowania osób. Nie jest to coś, co zostaje wymyślone. A zarazem jest to owoc, za który jesteśmy wdzięczni. W dziełach zaczyna uczestniczyć wielu młodych, którzy wzrastają i stają się odpowiedzialni. Nam wydaje się, że ten wciąż obecny trud wynika z problemu pojmowania. Ja nie przeżywam współodpowiedzialności, jeśli nie uważam, że jest to „coś więcej” dla mnie, co stanowi część mojej natury, co jest w jakiś sposób odpowiedziem na rzeczywistość poprzez odkrywanie nowych czynników, co stanowi dobro czy to dla mnie, czy dla dzieła.

**Ks. Carrón.** Wzięcie odpowiedzialności jest znakiem dojrzałości dorosłej osoby, bez podejmowa-

nia w naszym gronie odpowiedzialności wciąż jesteśmy dziećmi. A więc wzięcie na siebie odpowiedzialności jest znakiem tego, że wzrastamy jako ludzie. To jest dla nas decydujące, ponieważ w ten sposób realizujemy nasze człowieczeństwo. My realizujemy się jako osoby na tej drodze. To nie tak, że realizacja mojego życia biegnie swoim torem, a dzieło swoim, jak gdyby występował dualizm. Nie: ja realizuję się, podejmując wszystkie wyzwania, jakie rzuca mi życie, w domu, w relacjach, w pracy, a także w odpowiedzialności, jaką muszę na siebie wziąć. Dlatego życie to uczenie się relacji istniejącej między „ja”, jakim jest każdy z nas, a wychodzącymi nam na spotkanie osobami, rzeczami, wyzwaniami, okolicznościami. Jeśli nie odpowiadamy na to, nie odpowiadamy

**„Życie to uczenie się relacji istniejącej między «ja», jakim jest każdy z nas, a wychodzącymi nam na spotkanie osobami, rzeczami, wyzwaniami, okolicznościami. Jeśli nie odpowiadamy na to, nie odpowiadamy na sposoby, w jakie Tajemnica nas przyzywa”.**

na sposoby, w jakie Tajemnica przyzywa nas za pośrednictwem rzeczywistości, a więc nie wzrastamy. Pomyślcie, co by było, gdyby rzeczywistość nie rzucała wam wyzwania, gdyby jej nie było, gdyby istniała, nie prowokując was. Nasz elektroencefalogram byłby płaski, jak widzimy to w przypadku wielu spośród nas wokół. Jeśli ktoś zaczyna patrzeć na rzeczywistość w ten sposób, zaczyna dostrzegać, że to rzeczywistość go prowokuje, jest dobrem. Jest dobrem, ponieważ nie pozostaję w stanie, w którym elektroencefalogram wychodzi płaski. Wówczas zaczynam patrzeć na rzeczywistość jako na przyjazną, na każdą okoliczność jako na przyjazną. A każdy, kto wchodzi w mój horyzont – niezależnie od intencji, z jakimi to

robi, od tego, czy się myli, czy ma rację – każe mi się zaangażować. Jeśli każdy z nas nie odpowiada na to, życie upływa, nie realizując celu, dla którego istnieje, to znaczy nie sprawia, że coraz bardziej stajemy się sobą. Dlatego prawdziwe jest to, co ksiądz Giussani mówi w dziesiątym rozdziale *Zmysłu religijnego*, że osoba, dla której rzeczywistość nie jest intensywnym wyzwaniem, nie może posiadać świadomości siebie, jaką posiada inna osoba, dla której rzeczywistość jest wyzwaniem. Nie dlatego jednak, że ta osoba jest lepsza albo gorsza, bardziej albo mniej inteligentna. Nie. Chodzi o to, że jeśli rzeczywistość nie rzuca ci wyzwań i nie prowokuje cię, i nie każe ci zaangażować wszystkich twoich zasobów, jest tak, jakby ktoś nie wykonywał żadnego ćwiczenia fizycznego. Jeśli nic nie robi, nie żeby się uszkadzał, po prostu stoi w miejscu, sparaliżowany; nie robi nic „przeciw”, ale jako że od ćwiczeń zasad-



Vincent Van Gogh, *Ogród przy szpitalu Saint-Rémy*, 1889. Amsterdam, Rijksmuseum

niczo zależy stan fizyczny, jeśli ich nie wykonuje, wiemy, co się dzieje. To jest banalny przykład na to, co dzieje się w życiu, w ludzkim istnieniu: jeśli mojej inteligencji nie jest rzucające wyzwanie, jeśli mojej wolności nie jest rzucające wyzwanie, jeśli mojej miłości nie jest rzucające wyzwanie, jestem jak żyjący nieboszczyk. Wówczas, jeśli nie rozumiemy, że jest to dobro, bronimy się, opadamy z sił i wciąż narzekamy na wyzwania rzucające przez życie. Jeśli natomiast zacznę rozumieć, wówczas pragnę, by nie było mi zaoszczędzone żadne wyzwanie, ponieważ jest ono okazją, gdyż na cokolwiek Tajemnica przyzwala, nawet jeśli tego nie rozumiemy, jest nam to dane dla naszej dojrzałości, dla naszego wzrostu, dla naszego człowieczeństwa. To jest wartość czasu, historii: sprawić, że staniemy się bardziej sobą. Jeśli tego nie rozumiemy, bronimy się. A przed czym bronimy się najbardziej? Przed tym, co rzuca nam największe wyzwanie: przed „ty” drugiego. Dlaczego wówczas często posiadamy tę „monarchiczną” koncepcję? Ponieważ drugi naprzykrza mi się i byłoby lepiej, gdyby go nie było. To jest koncepcja, którą z trudem się kwestionuje. To jest błędna koncepcja „ja”: myślę, że mogę powiedzieć „ja”, nie mówiąc „ty”. I bronię się przed drugim, zamiast uznać – jak to się dzieje wiele razy, kiedy

jesteśmy lojalni – że jeśli usiądziemy wokół stołu z innymi, wyłania się taka ilość pomysłów, że mnie samemu nigdy nie przyszłyby one do głowy. Wówczas widzimy, że drugi jest decydującym punktem, że daje mi coś, co mi się opłaca, a więc że bronienie się przed drugim jest głupotą. W ten sposób drugi nie jest czymś, czego trzeba unikać, trzymać się od niego z daleka, ponieważ „zawraca głowę”; przeciwnie, zaczynam postrzegać drugiego jako kogoś, kto może wnieść wkład w moje dzieło, w to, co chcę zbudować. Ponieważ drugi może wnosić wkład tylko wtedy, gdy zostawię mu przestrzeń, by to robił. Możecie sprawdzić, jaki jest wasz sposób rozumowania przy pomocy bardzo prostego testu: przed drugim się bronicie czy też szanujecie go jako dobro i zasób? I od razu zrozumiecie, jakie jest wasze pojęcie o waszym „ja”. Życie jest proste, ponieważ w każdej rzeczy, z którą pozostajemy w relacji, pokazujemy samym sobie, czy drugi stanowi część sposobu, w jaki mówię „ja”, czy też drugi znajduje się na zewnątrz i stoi obok mojego „ja”. „Ja” jest pojmowane albo jako relacja, albo jako wyizolowanie. To jest wielkie wyzwanie.

**Wypowiedź.** Innym aspektem odpowiedzialności, z której ogromnej roli zdaliśmy sobie sprawę, >>

>> jest kwestia zbieżności między formą a treścią rzeczy. Nieposłuszeństwo formie dzieła – przez co miejsca formalnej odpowiedzialności nie utożsamiają się z miejscami rzeczywistej odpowiedzialności – tworzy punkt nieposłuszeństwa w ramach dzieła, co odbija się na wszystkim, również na tym, że ten, kto przewodzi, projektuje samego siebie i swoje wyobrażenie.

**Ks. Carrón.** To jest dualizm w dziele. Jeśli chcecie opróżnić miejsca odpowiedzialności, wystarczy bardzo prosta rzecz: decydowanie poza tymi miejscami. Już je uśmierciliście, ponieważ przynosicie do miejsc odpowiedzialności sprawy, co do których decyzja już została podjęta. A wówczas jest to kpina! W ten sposób miejsca odpowiedzialności stają się formalne. To jest kpina w stosunku do osób, które zapraszacie do miejsc odpowiedzialności: „Jeśli już zdecydowałeś, do czego mnie zapraszasz? A jeśli mnie tutaj zapraszasz, dlaczego nie decydujesz tutaj? To znaczy, że mnie nie potrzebujesz”. Musicie być wolni w odsyłaniu z kwitkiem tego, kto zachowuje się tak w stosunku do nas, jeśli macie tę wolność: „Nie przychodzę już więcej do miejsca formalnego”. Ponieważ to grób dla waszych dzieł, ponieważ to sprzyja personalizmom, które nie prowadzą do niczego dobrego. Jeśli powołujemy pewne organy do zarządzania firmą, robimy to nie dlatego, że nie mamy do siebie zaufania, ale ponieważ znamy wszystkie swoje ograniczenia. Jedną z rzeczy wywołujących największy zamęt w czasie, kiedy byłem dyrektorem szkoły, było ułożenie planu zajęć. Toczyła się wielka coroczna debata, ponieważ przy dobrym rozkładzie zajęć rok szkolny wygląda zupełnie inaczej. Jakie było wyjście z tej sytuacji? Powiedzenie: „By uniknąć tego, bym zrobił coś wpływającego z mojego subiektywizmu i byście nie próbowali mnie szantażować, uzgodnijmy wcześniej jedną rzecz: stwórzmy kryteria. W ten sposób już więcej nie będziecie mi się naprzykrzać. Nie chcę bowiem ulegać mojemu subiektywizmowi (mogę mu ulegać ze względu na moją kruchość, tak jak wy); ale także wy możecie mu

ulegać, nie tylko ja. A więc stwórzmy kryteria, które potem zastosujemy”. Dlatego od kiedy jestem w Mediolanie, by przewodniczyć Ruchowi, mam tylko jedną regułę przewodniczenia: każdy jest wolny w posiadaniu wszystkich relacji, jakie ma, z kim chce, to nie tylko nie jest negatywne, ale jest dobrem dla nas wszystkich; w każdym razie są miejsca podejmowania decyzji i niech nikt nie pozwala sobie decydować o czymś, co dotyczy samego Ruchu, poza nimi. Koniec, kropka, nie ma innej zasady. To jest sposób na to, by nie opróżnić miejsca zarządzania, ponieważ jeśli o sprawach decyduje się na zewnątrz, wówczas opróżniasz je automatycznie.



Vincent Van Gogh, *Łodzie rybackie*, 1888. Bruksela, Królewskie Muzea Sztuk Pięknych

**Wypowiedź.** W roku 2009 powiedziałeś do Towarzystwa Dzieł: „Przenikanie darmości w szczeliny naszych kalkulacji powinno zawsze widnieć przed nami jako ideał, jako pewne napięcie. Ponieważ – jako że wszyscy jesteśmy grzesznikami – nie jesteśmy chronieni przed upadkiem naszej bezinteresowności i popadnięciem w czyste kalkulacje, przy przekonaniu, że ocala nas po prostu przynależność do naszej przyjaźni. Nieustannie czyha ryzyko obwarowywania się w małym korporacyjnym światku naszego dzieła, być może nawet z planem zdobycia politycznej hegemonii. Darmowość jako

ostateczna korzyść oznacza wyścig w poszukiwaniu dobra, które wyraża się w poszanowaniu prawa, ale które z darmości czyni przywiązanie, budowanie dla dobra wspólnego, poprawianie bez przemilczeń wobec ciągłego upadania” (J. Carrón, *Twoje dzieło jest dobrem dla wszystkich*, „Ślady” 1/2010, s. VIII). To zaczęło być dla nas punktem wyjścia do pracy. Opowiem o pewnym fakcie. Wykonując niedawno zlecenie dla pewnej instytucji, zostaliśmy wezwani do wydania w bardzo krótkim czasie naszego osądu dotyczącego pewnego projektu prawnego. Mogło się stać ogromnym powodem do narzekań: jak to zwykle publiczna administracja, udająca, że bierze pod uwagę nasze opinie, niepotrzebna praca, która nie przyniesie żadnego owocu, zwyciężą inne mechanizmy... Tymczasem zabraliśmy się do rozeznania sytuacji, pewni, że w zmieniającym się świecie aktyw-



ny i wolny od narzekań udział jest prawdziwym zasobem. W nieoczekiwanym rezultacie tej intensywnej i gorączkowej pracy nasi rozmówcy wzięli pod uwagę nasze osądy. Ktoś spośród nas skomentował to: „To jest metoda. Aktywny i wolny od narzekań udział jest prawdziwym zasobem”. Mówię o tym nie po to, by powiedzieć, jacy jesteśmy wspaniali, ale by pokazać, jak pokorna praca polegająca na konfrontacji oraz otwarte stanowisko, które jako ideał dowartościowuje w pierwszej kolejności ideał dobra wspólnego, przynosi w rezultacie ogromną satysfakcję, a jeśli taka jest Boża wola, przynosi również te nieoczekiwane owoce. Są jednak momenty, w których w relacjach instytucjonalnych ścieramy się ze stanowiskami ideologicznymi, z nieustępliwością rozmówcy, za którą podąża narzekanie hamujące bezinteresowność, dążenie do dobra wspólnego, o którym mówiłeś. Bardzo często wydaje się, że najbardziej powszechna jest postawa bierności, ścierająca się z postawą, którą odkryliśmy niedawno. Jak pomóc sobie w utrzymywaniu żywym tego dążenia do bezinteresowności, również w tych momentach, w których starcie z instytucją wydaje się jedynym dostępnym rozwiązaniem?

**Ks. Carrón.** Jak utrzymać bezinteresowność żywą? Innymi słowami: jakie doświadczenie życia rozbudza ją w tobie? To nie zależy od instytucji, nie zależy od naszej zdolności, ale od przynależenia do miejsca życia, które nieustannie cię rozbudza i sprawia, że jesteś w stanie bardziej uczestniczyć w doświadczeniu pozwalającym ci obfitować w tę pełnię, z której może zrodzić się bezinteresowność. Ponieważ bezinteresowność jest występowaniem z brzegów, wylewaniem się pełni. Możemy wyjść od pełni albo od pustki. Jeśli wychodzimy od pustki, zawsze będziemy we władaniu rezultatu, tego, co udaje nam się zrobić. A jeśli tak jest, gdy tylko droga zacznie piąć się do góry, zmęczymy się i damy za wygraną. Tymczasem, by żyć bezinteresownością, nie wystarczy wypowiedzieć słowo „bezinteresowność” albo wiedzieć, co to jest. Trzeba, by bezinteresowność się wydarzała, trzeba, byśmy uczestniczyli w doświadczeniu, w wyniku którego żadna porażka nie będzie mogła nas zatrzymać, ponieważ nie zależymy od niej, ponieważ punkt źródłowy naszej bezinteresowności znajduje się gdzie indziej! To jest wartość chrześcijańskiego doświadczenia jako punktu źródłowego sposobu bycia w rzeczywistości w odmienny sposób, naprawdę nowy.

**„Jak utrzymać bezinteresowność żywą? Innymi słowami: jakie doświadczenie życia rozbudza ją w tobie? To nie zależy od instytucji, nie zależy od naszej zdolności, ale od przynależenia do miejsca życia, które nieustannie cię rozbudza”.**

Wszyscy inni, tak naprawdę, narzekają. Dlaczego? Nieuniknienie narzekają nie dlatego, że są źli, ale ponieważ nie posiadają doświadczenia w teraźniejszości, które wypełniałoby ich nieustannie. A to nie jest problem dzieła, drugiego, który nie daje wam posłuchu, instytucji... Nawet gdyby wszyscy dali wam posłuch, problem naszej bezinteresowności pozostałby nierozwiązany. Tylko odmienne korzenie czynią bohaterami w pracy; nie w pracy powierzchownej, ale w pracy dogłębnej. Nie możemy myśleć, że – ponieważ żyjemy pięknym doświadczeniem – ta praca będzie nam oszczędzona, jak gdyby wystarczyło wypowiedzieć magiczne słowo. Nie, trzeba wejść w meritum spraw i pokazać poprzez to, co takiego robicie, by mieć na uwadze wszystkie czynniki i umieć

lepiej rozwiązać pojawiające się problemy. A to – wszyscy o tym wiemy – nie dokonuje się z dnia na dzień, ale jest pracą, jak doskonale powiedziałaś. Czasem jednak musicie walczyć przeciwko ideologicznemu stanowisku. Wówczas jest to wyzwanie dla twojej kreatywności. Czy nie musisz tego robić z twoimi dziełami, które czasem popełniają błędy, a potem znajdują się w ślepych zaułku? I co wtedy robisz? Odsyłasz je z kwitkiem? Czy też są dla ciebie wyzwaniem? „Co mogę im powiedzieć? Co mogę im opowiedzieć? Co mogę dać im do przeczytania?”. I kładziesz się do łóżka, budzisz się rano i idziesz do pracy. A potem

– „właśnie to!” – przydarza ci się coś, co podpowiada ci, co możesz im dać. Nie inaczej jest z rozmówcami w pracy, ponieważ chodzi o relacje. Wówczas zastanów się, czy za każdym razem, kiedy znajdujesz się w konkretnej sytuacji, angażujesz się; wyobraź sobie, że zamiast narzekać na ideologię drugiego, zadajesz sobie nieustannie pytanie: „Jak ja mam wejść w relację z tą sytuacją? Co mu mogę powiedzieć, żeby się nie bronił? Co mogę mu zaproponować? Co mogę mu opowiedzieć?”. A często drugi może nie rozumieć. Często przytaczam przykład z Abrahamem. Wyobraź sobie, co by było, gdyby po tym, jak został on wezwany, poszedł do Boga narzekać: „Spójrz, ci tam nie dają mi posłuchu, nie rozumieją, są ideologiczni...” (to samo, co my mówimy). Co odpowiedziałby mu na to Bóg? „Ale przecież właśnie dlatego cię powołałem! Oni nie rozumieją: dlatego powołałem ciebie, aby zaczęli rozumieć!”. Bóg daje łaskę jednemu, aby za jego pośrednictwem mógł dotrzeć do innych. My natomiast obwiniamy drugiego, ponieważ nie rozumie. Nie! >>

>> Ty dostałeś ten sposób percepcji, tę łaskę, tę iskrę, by coś zacząć – łaska jest dla ciebie i do trze ona w pewien sposób do innych za twoim pośrednictwem oraz za pośrednictwem nieznanego ci planu. Wyobraź sobie, że Abraham zacząłby odliczać, ile czasu musiało upłynąć, by inni zrozumieli... Zmęczyliby się po kilku dniach. To nie my decydujemy o Bożym planie uczestniczenia innych w tym, co Bóg nam daje.

**Wypowiedź.** To, co nazywasz „hegemonicznym planem”, wydaje się pójściem na skróty. Czasem odnosi się wrażenie, że postawa bezinteresowności jest postawą słabszą. Chciałbym, by ten punkt został pogłębiony, ponieważ wydaje mi się, że otrzymywany rezultat jest jakościowo odmienny, ponieważ hegemonia zakłada, że wolność nie istnieje.

**Ks. Carrón.** Właśnie tak. Przy pomocy hegemonii możesz dotrzeć do celu, ponieważ masz towarzysza przywiązanego do siebie liną, a nie dlatego, że go przekonałeś. W ten sposób nie pracujesz nad racjami twojego wkładu na rzecz świata. Wiele razy możemy się zadowolić posiadaniem hegemonicznej przewagi, w gruncie rzeczy jednak przegrywamy na polu kultury. Tymczasem możemy zwyciężyć na polu kultury, nawet jeśli nie posiadamy hegemonicznej przewagi. Oznacza to, że nie mamy bliźniemu do zakomunikowania nic innego, jak tylko to, co nam się wydarzyło (i nie wiemy, ile czasu będziemy potrzebować i ile będzie nam potrzeba środków do tego, by to odniosło zwycięstwo. Kiedy święty Benedykt rozpoczynał, kto by pomyślał, że będzie potrzeba tylu wieków!). My jednak rozumiemy w ten sposób: albo włożę monetę do maszyny i wypadnie napój, albo popełnię błąd. Nie, nie ma błędu, po prostu o rytmie decyduje Drugi, plan jest planem Drugiego. Dlatego jeżeli ktoś nie posiada odpowiedniego fundamentu, ile czasu wytrzyma? Problem nie polega na tym, że sprawy nie postępują naprzód zgodnie z naszymi przewidywaniami, ale że nie posiadamy stanowiącej nas istoty. A więc narzekamy, my również zaczynamy uczestniczyć w powszechnym narzekaniu. Albo zwyczajnie dajemy za wygraną. Dlatego wiele osób bardzo łatwo po jednym, dwóch, trzech razach męczy się i sobie odpuszcza. Problem polega na dążeniu. Tak jak postępujesz z twoimi dziećmi. Pomyśl, że twoja żona liczyłaby, ile razy musi się uśmiechnąć, by na twarzy dziecka pojawił się

pierwszy uśmiech. Spójrz, ile razy w ten sposób traktowałeś rozmówców w pracy! Zastanów się, a zobaczysz, że nie ma dużej różnicy.

**Wypowiedź.** Pytanie dotyczy współpracy z innymi pracownikami. Miejsce pracy jest miejscem formacji oraz wychowania. Gdy wchodzi się w rzeczywistość pracy, uczy się jednocześnie zawodu i ludzkiej postawy. Jednym z najbardziej znaczących aspektów mojej pracy jest szkolenie pracowników (nauczycieli, opiekunów, wychowawców). Będąc odpowiedzialnym za nauczanie zawodu, mając koło siebie przede wszystkim ludzi młodych, którzy zaczynają ze mną pracować, musi leżeć mi na sercu przekazanie metody. A metoda nigdy nie jest techniką, nie może się ograniczyć tylko do aspektu zawodowego. Jednocześnie to poprzez dokładność w przekazywaniu metody przekazuje się ludzką postawę. Ta jedność (między wyuczeniem się zawodu a autentycznie ludzką postawą) sprawia mi trudność, ponieważ zauważam, że mogę łatwo popaść w powierzchowny sposób nauczania zawodu, a przywołanie do ludzkiej postawy pozostanie tylko zachętą.

**Ks. Carrón.** Niepotrzebnie, ponieważ możesz rozbudzić ludzką postawę tylko poprzez to, co robisz. Nie jest tak, że męczysz swoich uczniów przez godzinę zajęć, a potem prawisz im morały w ciągu ostatnich pięciu minut! Problem polega na tym, czy uda ci się przez godzinę trzymać ich w napięciu, ponieważ to, co tłumaczysz, jest tak interesujące (poprzez narzędzia, przy pomocy których im tłumaczysz, metodę, jaką się posługujesz). W ten sposób nauczasz metody i rozbudzasz człowieczeństwo. W przeciwnym razie rozbudzanie człowieczeństwa redukuje się do prawienia morałów. Tutaj, jak zawsze uczył nas ksiądz Giussani, treść i metoda są ze sobą zbieżne. Jezus nie mówi najpierw morałów Zacheuszowi, a potem mówi do niego: „Przyjdę do twojego domu”. Nie. Mówi mu tylko jedną rzecz: „Przyjdę do twojego domu”. Zacheusz zrozumiał od razu. Przyjął Go szczęśliwiony. Spojrzenie (treść) i słowo (metoda), które Jezus wypowiada, są ze sobą zbieżne; nie są to dwie różne rzeczy. Nasz brak troski o metodę wynika z naszego braku miłości do treści; w istocie, treść komunikuje się tylko poprzez formę, metodę. Dlatego ksiądz Giussani był tak bardzo przywiązany do kwestii metodologicznej, ponieważ to właśnie za pośrednictwem metody sprawiasz,

**„Tylko odmienne korzenie czynią bohaterami w pracy; nie w pracy powierzchownej, ale w pracy dogłębnej. Nie wyobrażajmy sobie, że – ponieważ żyjemy pięknym doświadczeniem – ta praca będzie nam oszczędzona”.**



Vincent Van Gogh, *Stare chaty w Chaponval*, 1890. Zurych, Kunsthaus

że coś wnika w tkankę istnienia młodzieży. Tego ranka jeden z nauczycieli opowiadał mi o swojej bardzo zdolnej koleżance, urzekającej uczniów metodą wyjaśniania zagadnień, które dla innych są nudne; pewnego razu jedna z mam mówi jej: „Zazdroścę mojej córce, że ma taką nauczycielkę!”. Co musiała zobaczyć mama tej dziewczyny! O czym musiała opowiedzieć jej córka, że ta jej zazdrości! Tej tożsamości między treścią a metodą nie da się wymyślić w jeden dzień.

**Wypowiedź.** Dzisiaj, kiedy jesteśmy proszeni o opisanie, skąd pochodzą, jaki jest akt generujący nasze dzieła, wciąż mówimy zazwyczaj, że zrodziły się one z usiłowania odpowiedzenia na potrzebę. Doświadczenie nauczyło nas jednak, że rozwoju dzieła nie może determinować potrzeba, ale że musi cechować go realizm i roztropność. Książd Giussani powiedział również w 1987 roku w Assago: „Dzieła zrodzone z autentycznej odpowiedzialności muszą charakteryzować się realizmem i roztropnością. Realizm wiąże się z wagą faktu, że fundamentem prawdy jest dostosowanie się intelektu do rzeczywistości; tymczasem roztropność, która w *Sumie teologicznej* świętego Tomasza jest zdefiniowana jako właściwe kryterium tego, co się robi, mierzy się prawdą rzeczy wcze-

śniej niż moralnością, etycznym aspektem dobra. Dzieło, właśnie ze względu na tę konieczność cechowania się realizmem oraz roztropnością, staje się znakiem siły wyobraźni, poświęcenia i otwartości” (L. Giussani, *L'io, potere, le opere*, Marietti 1820, Genova 2000, s. 169). Z drugiej strony wiemy, że każda nasza działalność, każda ludzka działalność w ogóle, zawiera jakąś dozę ryzyka, tego, co nazywamy balansowaniem na krawędzi przepaści. Często stwierdzaliśmy to na podstawie doświadczenia: właśnie w chwilach mniej przygotowanych, mniej zaplanowanych coś się wydarzało i Opatrzność otwierała przed nami nowe, nieprzewidywalne drogi. Jednak ponosimy nieustannie ryzyko i tutaj leży istota problemu: ograniczanie i wynaturzanie naszych dzieł w wyniku usiłowania zagwarantowania im statusu gospodarczego. Bardzo często potrzeba gospodarcza, która przeważa, oraz utrzymanie miejsc pracy, przede wszystkim teraz, grożą wynaturzeniem oraz ograniczeniem samego dzieła. Dlatego pytanie brzmi: w jaki sposób realizm oraz roztropność nie staną się miarą oraz hamulcem rozwoju? A w obliczu nacisku rzeczywistości – spotkana potrzeba, okazja, propozycja, nowa, rodząca się relacja, pragnienie wsparcia nowych dzieł – w jaki sposób realizm i roztropność sugerują, jakie kroki podejmować? >>

» **Ks. Carrón.** Realizm i roztropność muszą nieustannie monitorować sytuację. Jeśli sytuacja się zmienia, realizm i roztropność mogą zmusić was do zmiany wymiaru dzieła. Nie możecie uparcie kontynuować, wbrew realizmowi i roztropności, iść dalej, jak gdyby nigdy nic. Realizm i roztropność są sposobem przewyciężenia dualizmu. Wiara rozbudza rozum i każe go używać zgodnie ze wszystkimi kryteriami poznania rzeczywistości, zgodnie ze wszystkimi czynnikami, a więc z realizmem oraz zastosowaniem roztropności jako właściwego kryterium (jak mówi święty Tomasz) tego, co się robi. Jeśli zaczniecie tworzyć w dziele abstrakcję takiego użycia rozumu, wówczas zaczniecie występować przeciwko rozumowi. Chcecie odpowiedzieć na potrzebę czy szukacie uznania dla samych siebie? Jezus mógł rozwiązać problemy, z jakimi boryka się ONZ w krajach Trzeciego Świata, wystarczyło ulec pierwszej pokusie na pustyni: „Spraw, by te kamienie stały się chlebem”. Mógł to zrobić i problem byłby rozwiązany. Dlaczego tego nie zrobił? Ponieważ Boży plan był inny, byłby to Jego sposób zdobycia uznania dla samego siebie, wbrew Bożemu planowi. A więc nie wszystko, co wydaje się dobre, jeśli jest wbrew Bożemu planowi, jest słuszne, ponieważ wiele razy nie wiemy, czy szukamy uznania dla Bożego planu czy tylko dla własnego widzimisię. A skąd to wiemy? Gdy jesteśmy posłusznymi sposobowi, w jaki Tajemnica daje nam środki. Jeśli mamy ich tyle, by zrobić pięć rzeczy – mówię zawsze – nie róbmy czterech i pół, zróbmy pięć. Jeśli jednak możemy zrobić tylko trzy, zróbmy trzy. Ponieważ zanim jeszcze będziemy odpowiadać zgodnie z naszą miarą, wcześniej musimy nauczyć się posłuszeństwa. Zresztą, nawet jeśli zrobiłbym 28 rzeczy zamiast trzech, wciąż byłaby to kropla w morzu potrzeb. To jest nasze roszczenie: myślimy, że nadymając nieco bardziej dzieło, rozwiążemy jakiś problem. Niczego nie rozwiążemy! Zaspokoimy tylko odrobinę więcej z potrzeby, która jest ogromna w stosunku do całej reszty, jaka zostaje do zrobienia. A więc, jeśli w pewnym momencie trzeba przywrócić właściwy wymiar dziełu ze względu na realizm i roztropność, musicie przywrócić mu właściwy wymiar. Ponieważ to jest sposób, w jaki jesteście posłusznymi. Jeśli potem sytuacja się zmienia i możecie jeszcze raz zrobić to, co robiliście wcześniej, trzeba zmienić wymiar dzieła raz jeszcze, ponieważ niezmiennie chodzi o posłuszeństwo. Jeśli tak nie robicie (w imię po-

trzeby, w imię tego, co jest dobre, w imię tego, że jest to słuszne dzieło, w imię nie wiem, czego jeszcze), zajmujecie się swoimi sprawami, szukacie uznania dla samych siebie, ponieważ nie akceptujecie znaków rzeczywistości. I w ten sposób pakujecie się w kłopoty, ale to nie jest Boży plan. To jest szukanie uznania dla własnego widzimisię. To, by dzieło naprawdę było obecnością, nie zależy od wymiarów dzieła, zależy od odmienności, jaką ono niesie. Dlatego ksiądz Giussani używał słowa „przykład”. Dzieła nie są usiłowaniem odpowiedzenia na wszystkie istniejące potrzeby, są tylko przykładem. Dlatego słyszeliście, gdy innym razem mówiłem, że Jezus nie uzdrowił wszystkich chorych, którzy żyli w Jego czasach. Mógł to zrobić, nie chodzi o to, że nie miał do tego środków. Ale Boży plan był inny. Jeśli Bóg

**„Nie wszystko,  
co wydaje się dobre,  
jeśli jest wbrew  
Bożemu planowi,  
jest słuszne.  
A skąd wiemy,  
czy szukamy uznania  
dla Bożego planu?  
Jest tak, gdy jesteśmy  
posłusznymi sposobowi,  
w jaki Tajemnica  
daje nam środki”.**

tego nie robi, czy jest tak dlatego, że nie ma do tego środków, czy też dlatego że Jego plan jest inny? Być może musimy sobie zadać to bardzo proste pytanie, ponieważ to napelni nas pokojem, nie dlatego, że tak jest dla nas wygodniej i żebyśmy nie robili tego, co musimy robić (jak gdyby był to jakiś uspokajający nas narkotyk), ale byśmy pamiętali, że Boży plan jest tym, co musi „zarządzać” dziełami. Co rozumiemy przez posłuszeństwo Bożemu planowi? Zwyczajne posłuszeństwo znakom. Przykład: naszym przyjaciółom w Irlandii z racji odbywania się Kongresu Eucharystycznego przyszło na myśl, by zrobić coś znaczącego. I jeden z nich powiedział: „Sprowadźmy wystawę «Oczami Apostołów», opowiadającą o życiu Jezusa, pokazaną podczas Meetingu w roku 2011”. Szaleństwo! Wydawało się to szaleństwem. „Spróbujmy. Spróbujmy się przekonać, czy znajdziemy środki, by to zrobić”. Wydawało się to rzeczą niemożliwą: taka mała wspólnota, a taki wielki wydatek. Od początku zachęcałem ich: „Jest jeden warunek: bądźmy posłusznymi znakom. Jeśli znajdziemy osoby, które zrozumieją doniosłość, jaką może mieć to przedsięwzięcie dla Kościoła w Irlandii, zróbmy to. W przeciwnym razie, spokojnie, widocznie Pan tego nie chce. Jeśli chce, poruszy to, co musi poruszyć”. W istocie, poruszył i udało im się zrobić wystawę w wielkim stylu. Opowiadali mi dzisiaj o zdumiewających rzeczach, jakie się wydarzają. To jest metoda. Jeśli się uda, zróbmy to, z odwagą, nie oszczędzając się. Ale jeśli nam się nie uda, zatrzymajmy się, by nie wyrządzić szkód. 